Rok III. Nr. 1.

ROCZNIKI

OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ

Św. WINCENTEGO à PAULO.

Styczeń.

KRAKÓW.
Wydawnictwo i nakład XX. Misyonarzy.
1897.

TREŚĆ ZESZYTU.

Prenumerata roczna wynosi z przesyłką 2 fl. (4 m).

ROCZNIKI

OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ

Św. WINCENTEGO à PAULO.

ROCZNIKI

OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ

Św. WINCENTEGO à PAULO.

Rok III.

KRAKÓW.

Wydawnictwo i nakład XX. Misyonarzy.

1897.

KRAKÓW. — DRUKIEM W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

Ameryka.

STANY ZJEDNOCZONE.

NOWY-ORLEAN.

Zakład trędowatych powierzony Siostrom Miłosierdzia.

Nowy-Orlean, w kwietniu 1896.

Trąd został przyniesiony, jak mówią, do Luizyany, pod koniec 17-go wieku. Jakkolwiek rzecz się ma, jest niezawodnem, że pewna liczba nieszczęśliwych, dotkniętych tą chorobą straszną, znajduje się rzeczywiście w tym kraju; już dwa lub trzy lata upłynęły odkąd władze cywilne i lekarze Nowego-Orleanu poznawały, że potrzeba odłączyć ich od wszelkiego towarzystwa z współobywatelami. Rozpoczęto od umieszczenia kilku z nich w najętym domu, i przeniesiono ich w listopadzie 1895 r. do zakładu umieszczonego w dość wielkiej odległości od miasta, nad rzeką Mississipi, daleko od wszelakiego mieszkania, w otwartem polu. Według wielu relacyj, ci biedni ludzie tam się mieli lepiej, jak w mieście: jednakże administratorowie, widząc jak wiele starania koło nich położone, pozostawiają do życzenia, i znając trudność, jaka będzie w przyprowadzeniu nowych trędowatych do zakładu, powzięli myśl zaprowadzenia tu Sióstr Miłosierdzia.

Zaledwo ta nowina rozeszła się w prowincyi, jeszcze przed zezwoleniem wyższych przełożonych, wiele sióstr ze wszystkich stron ofiarowało się z poświęcenia na tę misyą. W końcu po uporządkowaniu wszystkich spraw i uzyskaniu pozwolenienia od przełożonych, wybrano 4 siostry i wysłano do Nowego-Orleanu, zaraz po wielkanocy. W wigilią święta przeniesienia relikwij św. Wincentego, wsiadły na parowiec, który je miał zawieść na miejsce tak upragnione.

W długim ustępie, który skracamy, jedno czasopismo tak ich podróż opisuje:

„Ludzie zatrudnieni, którzy odwiedzają nasze wybrzerze, widzieli wczoraj wieczór cztery niewiasty, ciemno ubrane, podążające do parowca „Paul-Tulane". Gdy przechodziły, wszystkie kapelusze się podnosiły, zatrzymywano się i zbierano w gromady. Któż one były? Och! któżby nie wiedział, to były siostry Miłosierdzia. Te cztery siostry, na których się zatrzymywały spojrzenia tłumu, nie były nic więcej ani mniej, tylko cztery bohaterki; szły one podjąć się ochotnie, trudnego dzieła, przed którem cofali się ludzie najodważniejsi. Patrząc na nie, skłaniano się instynktownie, mówiąc sobie po cichu: „One idą do trędowatych". Pewien redaktor czasopisma, zbliżając się do przełożonej, spytał się jej, czy nie doświadczyła jakiego wstrętu i żalu, w tej chwili, kiedy wymawiała ostateczne „do widzenia" temu wszystkiemu, co uprzyjemnia życie tu na świecie? „Czy nie ma Pani choćby małej obawy?" rzekł. „Jak", odrzekła, „mogłaby się Siostra Miłosierdzia wzdrygać? Czyż się nie oddała na życie ofiary i zaparcia się? Czyż nie zerwała najdroższych więzów, ażeby posłuszną być Mistrzowi wzywającemu ją do naśladowania? Co do mnie, odrzekła, 25 lat przepędzonych w szpitalu, spoufaliły

mnie z bólem i nieszczęściem: już go nie będę widzieć więcej razem z trędowatymi. Co do obawy, dodała, śmiejąc się, „cóż tam będzie żeby się bać?“ „Czyż Bóg nie będzie czuwał nad swemi dziećmi, nad trędowatymi i nami, gdyż wszyscy jesteśmy braćmi, jesteśmy wszyscy dziećmi tego samego Ojca“. Dla niej były te istoty odrażające, wyzute z towarzystwa, na które my tylko ze zgrozą patrzymy — braćmi. Tak więc, szlachetne serca, które aż dotąd narzekały na zaniedbanie tych nieszczęśliwych, cieszą się, że w przyszłości będą dobrze i czule pielęgnowani. „Tak“, mówił P. Phelpo jeden z administatorów, przybyły do brzegu, aby powitać siostry, „jesteśmy szczęśliwi, otrzymawszy pomoc sióstr: możemy się spodziewać teraz, że skutek uwieńczy nasze wysiłki, samo imię Sióstr Miłosierdzia napełnia zaufaniem, a właśnie nadewszystko trzeba nam zaufania.

Jest napewno więcej jak 100 trędowatych rozrzuconych po całym kraju, nie mogliśmy więcej przyprowadzić do schroniska jak 20, inni się ukrywają, aby zachować swą wolność, lecz skoro się dowiedzą, że siostry tu są, nie będą zwlekali, aby się im oddać. Siostry będą całkowicie zajęte zakładem; prócz przepisywania lekarstw, co należy do lekarza, będą czyniły wszystko, a wszystko pojdzie dobrze. Co do niebezpieczeństwa zarazy, to teraz nie ma jej wiele, choroba się nie udziela, tylko przez szczepienie ospy. Jednakże trzeba heroizmu, aby się zamknąć w pustkowiu z tymi nieszczęśliwymi, a siostry go mają; misya, którą chcą dopełnić wymaga nadludzkiego poświęcenia, one je też mają.

Deputacya panów katolickich, złożona głównie z członków konferencyi św. Wincentego à Paulo, przedstawiła się, aby okazać siostrom dowód szacunku

i czci. Kieby się okręt oddalał od brzegu, cała ta rzesza milcząca i poważna, z kapeluszami w ręku, miała wzrok utkwiony w siostry; w tej chwili, zadzwonił dzwonek na „Angleus; zachodzące słońce rzucało ostatnie promienie na tę małą grupę heroin, jakby je chciało błogosławić, wtedy, kiedy one żeglowały do miejsca swego przeznaczenia".

Wchodząc do miasta, redaktor zajęty różnemi myślami, spotkał arcybiskupa, Msgnora Janssens'a. „Excelencyo", rzekł, właśnie byłem obecny przy odjeździe Siostr Miłosierdzia do zakładu trędowatych: to są bohaterki". „Według waszego zdania", odrzekł prałat, lecz nie według ich.

Aktem prawdziwie heroicznem dla Siostry Miłosierdzia, jest kiedy czyni śluby; wszystko co następuje jest tylko następstwem naturalnem jej ślubów posłuszeństwa i zaparcia. Siostry udające się do zakładu trędowatych, wcale się nie uważają za bohaterki; idą się poświęcić dla miłości Boga, i nie widzą żadnego heroizmu w dziele poświęcenia, z czego sobie zrobiły codzienną regułę życia".

Wyjątki z listów Siostry Hart,

przełożonej nad przytułkiem trędowatych.

20 kwietnia 1896.

Odwiedziwszy kilku z naszych administratorów otrzymałyśmy błogosławieństwo od Msgnora Janssens'a i opuściłyśmy Nowy-Orlean 16-go, na parowcu o godzinie 6 wieczór z siostrą Slavin ze szpitala de la Charité, i siostrą Stokes z zakładu obłąkanych, które chciały z nami jechać, aby nas umieścić w naszem nowem mieszkaniu, albo też mówiąc lepiej w naszem pustkowiu. Byłyśmy przedmiotem bardzo grzecznej

troskliwości ze strony pasażerów, z których jeden zapewne wybitny człowiek, ofiarował nam podarunek z dwóch krów dla trędowatych, podarunek, który został przyjęty z wielką wdzięcznością. O godzinie 11-tej nazajurz rano, przybyłyśmy w stonę kolonii trędowatych; wysiadając z parowca znalażłyśmy lekarza, przybyłego na nasze spotkanie, aby nas zaprowadzić do zakładu. Trędowaci, którzy nas widzieli ze swych celek, gdyśmy wysiadały, nie posiadali się z radości.

Szłyśmy prosto do nich, mówiąc im: „Otóż nasi przyjaciele, jesteśmy tu, przychodzimy, aby was pielęgnować i ile można, uczynić was szczęśliwymi“.

„Czy to prawda“, pytał się jeden po drugim, „czy wy nas nie opuścicie? czy zostaniecie na zawsze z nieszczęśliwymi trędowatymi?“. „To nam już mówiono“, rzekł pewien nieszczęśliwy głosem drżącym ze wzruszenia, „lecz nie mogliśmy wierzyć“. „Lecz tak“, odpowiedziałam, to jest zupełnie prawdą, nie omylono was, oddałyśmy się Bogu, aby zawsze być około was przez całe nasze życie. Już nie będzie na przysłość mowy o trędowatych; wy jesteście naszymi przyjaciółmi, naszymi chorymi, dziećmi Boga, jak my same“.

Jest ich w rzeczy samej 21, wszyscy katolicy, bez żadnego wyjątku. Zakład jest to stara plantacya trzciny cukrowej, w opłakania godnym opuszczeniu, są tam piękne drzewa, lecz nic nie jest uprawiane, jest to prawdziwe pustkowie. Dom jest prawie ruiną; naprawiono kilka pokoi dla naszego użytku; w pewnej odległości od domu znajdują się celki zajmowane przez trędowatych, będzie tam wiele do roboty, nie mniej i w domu, aby tam wprowadzić porządek i czystość.

Jeżeli państwo da dużą pensyą, tak jak się spodziewać można, sprowadzi się potrzebne sprzęty i powoli będzie się miało przyzwoity zakład. Pierwszy dzień nasz, wigilia przeniesienia relikwij św. Wincentego przeszedł prawie cały na przygotowaniach do mszy św. jutrzejszej. Chodziło najprzód o wynalezienie miejsca na kaplicę.

Nie było wielkiego wyboru w naszym starym pałacu w ruinach. Trzeba było wybrać dosyć wielką stancyę w piwnicy i wziąść się do pracy, aby stąd wygnać kurz i pajęczyny. Przez ostrożność, przymocowałyśmy zasłonę do sufitu po nad ołtarzem, aby zapobiedz, aby co nie wpadło do kielicha. Nasze siostry z Nowego-Orleanu rywalizowały między sobą, aby dostarczyć ozdób na ołtarz; jeden dom dał świeczniki, inny znowu aparata i kwiatki, Hôtel-Dieu przysłał nam stare ławki, dar bardzo cenny, który nam oddał bardzo wielkie usługi. Przy końcu dnia, wszystkieśmy były dumne z naszego dzieła, lecz większe było nasze zadowolenie nazajutrz rano, widząc jak trędowaci napełniali kaplicę, a 16 z nich przystąpiło do Stołu Pańskiego. Kapelan szpitala powiedział im krótką naukę; pierwszy to raz słyszeli słowo Boże i słuchali go z chciwością. Po mszy św. kapelan poniósł Najśw. Sakrament chorym. Wieczorem znowu się zgromadzono w kaplicy: dla odmówienia różańca i przyjęcia błogosławieństwa Najśw. Sakramentem, a następnie uczczono relikwie naszego Błogosławionego Ojca.

20 maja 1896.

W piątek 15-go bieżącego miesiąca miałyśmy zaszczyt przyjąć wizytę naszego dobrego arcybiskupa. Znajdując się w pobliżu nie zapomniał przynieść nam

swego błogosławieństwa. Wyrzekł kilka słów ojcowskich do naszej małej gromadki zebranej w kaplicy; potem szedł obejrzeć chorych, lecz bojąc się, aby nie zrobić przykrości innym, gdyby przeszedł koło ich pokoików nic mówiąc ani słowa, zatrzymywał się koło każdego, okazując żywe zajęcie; oni byli prawie piękni, w swych nowych ubraniach, a porządek w pokojach i czystość łóżek, czyniły przyjemność patrzącym; nadewszystko kiedy to porównano z nieporządkiem przeszłym.

Pewien nieszczęśliwy, który jest blizko grobu powiedział Msgnorowi, że trędowaci mieli zamiar napisać mu list z podziękowaniem, że im dał Siostry, lecz że kiedy ich przyszedł odwiedzić, są szczęśliwi, gdyż mogą wyrazić mu swą wdzięczność żywem słowem.

28 maja 1896,

W niedzielę, w święto Zesłania Ducha Św. cała nasza osada składająca się z 31 osób przystąpiła do Sakramentu św. spowiedzi i komunii św. bez żadnego wyjątku.

Jest tam tylko jeden, który się opiera, i może będzie trudno go przekonać, lecz mamy nadzieję, że łaska odniesie tryumf nad uporczywością. Biedni ludzie! jak oni nam przypominają słowa św. Wincentego, kiedy powiedział, że są ludzie nieszczęśliwi, którzy mają zaledwo postać człowieka; w rzeczy samej tak jest z trędowatymi, młodymi i starymi. Lecz chociaż są oszpeceni i z członkami bezkształtnymi, i zgangrenowanymi, wydają się szczęśliwymi: śpiewają, śmieją się i z radością przyjmują przyjemności, których im dostarczamy. Nadto są pojętni jak małe dzieci i bardzo wdzięczni za najmniejsze nawet usługi,

które im oddajemy. Pewien lekarz ze szpitala de la Charité z Nowego-Orleanu właśnie nam podarował piękny organ dla schroniska. Nasi trędowaci są zachwyceni, oni bardzo lubią śpiew kościele, a ten instrument nie mało się przyczynił do ich szczęścia. Jesteśmy szczęśliwe mając kapelana bardzo gorliwego. Uporządkował i zaprowadził nabożeństwo majowe dla trędowatych, z krótką medytacyą na każdy dzień, i odmawianiem różańca itd.

Jego przykład dodaje nam odwagi i pobudza nas do wdzięczności ku Bogu za to, że nam powierzył zajęcie, którego nam tak wiele naszych Sióstr zazdrości.

15 czerwca 1896.

Sądzisz zapewne, jak i ja to do niedawnego czasu czyniłam, że nie można znaleść istot bardziej opuszczonych i nieszczęśliwych, jak byli trędowaci przed naszem przybyciem. Lecz, pozwól mi powiedzieć, że się mylisz, a słuchaj co się niedawno stało, niedaleko od nas.

Pewnego wieczora przechadzały się niektóre z naszych niewiast po brzegu Mississipi. Spotkały pewnego człowieka, który im rzekł: Nie chodźcie dalej, gdyż tam jest kobieta, dotknięta ospą, nie chodźcie tam. Nie przywięzując wielkiej wagi do tych słów, zwróciły się ze swej drogi i poszły do domu. Nazajutrz rano, jedna z nich powiedziała mi to przypadkiem. Lecz wiedząc, że chora w tych okolicach nie może być, jak tylko jakaś opuszczona, wzięłam towarzyszkę, małą prowizyę lekarstw i wyszłyśmy natychmiast, aby ją wyszukać. W rzeczy samej znalazłyśmy w dość dalekiej odległości biedną murzynkę, w lesie, położoną ua ziemi pod pewnym rodzajem

szopy, tak nizkiej, iż należało się zgiąć we dwoje, aby tam wejść i pozostać na kolanach; nie mogąc stać prosto. Ta nieszczęśliwa kobieta była tam już od pięciu dni sama, bez najmniejszej pomocy, nawet bez kropli wody, raz tylko zaczołgała się nad brzeg rzeki i udało się jej nieco uspokoić pragnienie. Gdyśmy przyszły, była tak słaba, iż mogła zaledwo kilka słów wymówić. Całe jej ciało było pokryte wielkiemi chrostami, tak zbliżonemi jedna do drugiej, iż nie było miejsca, gdzieby można szpilkę położyć. Naszem pierwszem staraniem było, żeby jej dać połknąć kilka kropel mleka i natrzeć całe jej ciało od nóg do głowy oliwą. Tego samego dnia powróciłam, przynosząc jej materac, poduszkę, nakrycie i czystą bieliznę. Potem chodziłyśmy odwiedzać dwa razy na dzień, dając jej zawsze to co było potrzebnem i dzięki Bogu powróciła istotnie do dawnego stanu. Za dzień lub dwa dni, będzie w stanie udać się do Donaldsouville, gdzie mieszka. Gdybym była swobodną, byłabym ją tu przyprowadziła, gdzieby mogła być pielęgnowana w osobnej celce. Lecz lekarz nie był tego zdania; nie był on bardzo zadowolony z naszych codziennych wizyt, bojąc się, żeby zaraza nie zagnieździła się w osadzie trędowatych. Co do mnie, byłam spokojna, będąc przekonaną, że Pan Nasz będzie się nami opiekował. Biedna niewiasta! gdyby nas Bóg nie był przyprowadził, byłaby zmarła, sama jedna, a po jakich męczarniach! Wiele razy będąc koło niej, zdawało mi się w tym lesie, że to pierwszy raz w życiu naprawdę wykonywam miłosierdzie: nie, nie mogłabym sobie wystawić podobnej nędzy. W porównaniu z nią, nasi trędowaci nawet w najgorszych swych dniach, traktowani byli jak książęta. Jeszcześmy miały pewnego młodego człowieka, który gaśnie powoli, ludzie

się budzą w nocy, aby czuwać nad nim; czyni się wszystko, aby osłodzić gorycz jego ostatnich dni, a on buduje wszystkich przez swą cierpliwość i wdzięczność, nawet za najmniejsze usługi. Inni są także szczęśliwi, ile to jest możliwem, pozbyli się swej miny smutnej i strapionej, któreśmy spostrzegły przy naszem przybyciu. Że użyję ich własnych słów, sądzą teraz że są istotami cywilizowanemi. Nasze siostry czuwają nad tem, aby porządek był utrzymany, a żywność dostateczna i dobrze sporządzona; prócz ćwiczeń wspólnych, cały swój czas poświęcają tym drogim nieszczęśliwym.

Brazylia.

List X. Bartłomieja Sipolis, do X. A. Fiat, Przełożonego generalnego. d. 14 lutego 1896.

SEMINARYUM W KURYTYBIE.

Najczcigodniejszy Ojcze!

Twoje błogosławieństwo, jeśli łaska!

Oto jesteśmy od (18) ośmnastu dni w Kurytybie. Niech Bóg będzie za to błogosławiony. Pobyt w pięknej stolicy prowincyi Parany był dla mnie po ukończeniu czterodniowych rekolekcyi z siostrami w Rio-de-Janeiro wśród największego upału, prawdziwem wytchnieniem wakacyjnem. Przerabianie wielkiego domu familijnego w Kurytybie na Małe Seminaryum sprawiło nam słodki odpoczynek wskutek bardzo łagodnego klimatu. Przygotowanie zaś wszystkiego tego co do przyszłej budowy nowego Seminaryum jest koniecznie potrzebnem, daje mi kilka wolnych chwil, abym Ci mógł o tym kraju podać kilka szczegółów. Nowe biskupstwo, którego siedzibą jest Kurytyba, założył Papież Leon XIII. r. 1894. Dyecezya

ta obejmująca dwa wielkie stany: Parany i świętej Katarzyny, połączona została przez jednego bardzo dobrego pasterza. Najprzewielebniejszy X. Józef de Camargo Barros, wybrany na biskupa Kurytybskiego, pojechał do Rzymu, ażeby się tamże wyświęcić na biskupa. Z powrotem otrzymał od Ojca świętego rozkaz, aby założył jak najprędzej Seminaryum dyecezyalne dla nauk przygotowawczych i dla uczniów wyższego kursu, którzy będą mogli być mianowani na godności kościelne. Wkrótce po wstąpieniu na stolicę biskupią, Najprzewielebniejszy X. biskup posłał mi list, który Ci właśnie przesyłam a w którym przedstawia swoje życzenie powierzenia tak wielkiego zakładu synom św. Wincentego. Po dość długich umowach otrzymałem 4 stycznia twój list, potwierdzający nominacyę X. Frechet na superyora Seminaryum w Kurytybie. Umówiliśmy się już na 22 stycznia, ale ja przyrzekłem Najprzew. X. biskupowi, przysłać misyonarzy najpóźniej do 25 stycznia. Nie można bowiem było prędzej oczekiwać przybycia X. Frechet z misyi Diamantyńskiej, skoro podróż zależała od wynajęcia mułów i koni, które trzeba było przygotować do dziewięcio lub dziesięciodniowej podróży, aby przez góry dotrzeć aż do pierwszej stacyi kolejowej. Wziąłem z sobą naszych drogich konfratrów, X. Vollet przybywającego z Petropolis i X. Deschaud z Bahia, którzy mieli zakładać nowe Seminaryum i w samo święto nawrócenia św. Pawła wyruszyliśmy parowcem *Itaitoba,* który płynął prosto do portu paragwajskiego, skąd nas kolej żelazna miała zawieść aż do Kurytyby. Podróż odbywała się raźno i szybko tak, iż już w sobotę rano stanęliśmy w porcie. Około 1-szej popołudniu wyjechaliśmy pociągiem do gór, które są ze strony morza jakby niezdobytymi szańcami stanu

Parany. Tor kolejowy przeznaczony na przebycie tak wielkiego łańcucha gór jest cudem śmiałości i zręczności. Wybudowało go Towarzystwo francuskie, którego administracya znajduje się w Paryżu. Przybyliśmy tam po pięć i pół godziny podróży. X. proboszcz katedralny oczekiwał nas na dworcu z innymi przyjaciołmi, księżmi i braćmi: wszyscy przyjęli nas jak najuprzejmiej i towarzyszyli nam na wozie aż do naszej tymczasowej rezydencyi, gdzie podziękowaliśmy P. Bogu za szczęśliwie odbytą podróż.

Tego samego dnia odwidziliśmy jeszcze Najprzew. X. biskupa, który nam okazał wielką radość z przybycia naszego. Jedna rzecz go tylko niepokoiła, t. j. że nie otrzymał Sióstr Miłosierdzia, o które tak bardzo prosił. Jakżebym był szczęśliwy, mawiał, gdybym widział moich dyecezyan otaczających zakład św. Wincentego, ponieważby u nich było wiele do pracy, gdyby jego córki przyszły do jego kraju, gdzieby ich dzieła dobroczynne wyświadczały wiele dobrodziejstw...“ Nazajutrz sam Najprzew. X. biskup chciał nas wprowadzić do domu, który najął dla tymczasowego urządzenia Seminaryum, oczekując wybudowania budynku w projekcie będącego. Zastanowiliśmy się zarazem nad zmianami, które tam trzeba było poczynić; chociaż ten dom był jednym z największych z całego miasta, jednak nie był dostateczny ani dla prostego małego Seminaryum a oto już się zgłosiło kilku uczniów do wielkiego. Ogłosiliśmy także plan nauk przygotowawczych. Otwarcie Seminaryum oznaczono na 7 marca pod protekcyą św. Tomasza z Akwinu. Dla nowego budynku, przeznaczonego na pomieszczenie około 200 uczniów, Najprzew. X. biskup ma już obszerny plac w bardzo ładnem położeniu blisko miasta, około 2 kilometry średnicy. Zabrał nas tamże powozem: jest to

wzgórze z bardzo miłymi stokami, z jednej strony lasem pokryte. Za kilka lat będzie w obwodzie stolicy, wzrastającej z dnia na dzień. Cóż więc jeszcze mam powiedzieć o Kurytybie? To co mówią wszyscy, którzy ją widzieli. Jest to stolica, która ma wielką przyszłość z powodu swego położenia geograficznego i osiedlania się na wielką skalę Europejczyków. Obszerna równina, której królową jest właśnie Kurytyba, ma przeszło 40 mil średnicy. Składa się z bardzo wielu urodzajnych wzgórz, cieszy się wybornym klimatem i obfituje we wszelkie owoce i produkta europejskie, które bywają bardzo dobrze uprawiane. Od kilku lat, więcej niż 40.000 kolonistów polskich przybyło wgłąb tego kraju, osiedlając się w różnych stronach. Kilku polskich księży, spełniając obowiązki religijne, ustawicznie pracują nad zachowaniem wiary św. w rodzinach chrześciańskich. Z tych familii będzie wiele powołań zakonnych. Przeszło 3.000 Włochów osiedliło się także mniej więcej w środku tego kraju. Osadnicy niemieccy są w mniejszej liczbie, lecz oni pierwsi w tym pięknym kraju się osiedlili. Zdają się być przemyślniejsi i czynniejsi od innych. Brazylijczycy też i Niemcy mają przedewszystkiem w Kurytybie najbogatsze magazyny i zarządzają największemi przedsięwzięciami. Jest tutaj także kilka bardzo zamożnych rodzin portugalskich i francuskich, lecz kolonie ich nie są tak liczne. Zawdzięcza więc Kurytyba różnym narodowościom, z których się składa jej ludność, to iż już dziś ma około 40.000 mieszkańców. Miasto leży przy 26 stopniu pod ekwatorem i około 1.000 metrów ponad poziomem morza. Jest ze środkowych punktów kultury, założonych przez kolonistów, przybywa z każdym dniem produktów przemysłowych a szczególniej rolnicy prowadzą tamże ustawiczny handel.

Ponieważ te promienie rozchodzą się w całem tego słowa znaczeniu wgłąb stanu Parany aż do granic stanu św. Pawła i św. Katarzyny, to też koloniści przynoszą do Kurytyby przeróżne owoce ich pracy i kupują w zamian u kramarzy to, czego im do życia potrzeba. Ruch mieszkańców i osadników tutejszych przypomina we wszystkiem miasto europejskie. Miasto jest opatrzone w liczne tramwaje mułowe przedewszystkiem na większych ulicach i około miasta, co bardzo ułatwia przewóz ludzi i towarów. Wybudowane na całym szeregu lekko się wznoszących wzgórz wyborne ma położenie i bardzo się nadające do wielkiego rozwinięcia się; główne ulice mogą się rozciągać na wsi do kilku kilometrów, gdzie już teraz powstają wielkie przedmieścia. Na jednem z tych wzgórz, prawie w środku miasta, wznosi się piękny kościół katedralny, nowej konstrukcyi. Był to niegdyś kościół parafialny pod wezwaniem Najśw. Maryi Panny światłości (Nossa Senhora da Luz). Po założeniu zaś biskupstwa w Kurytybie stał się kościołem katedralnym. Mimo to nie przestał być parafialnym, gdyż w tem wielkiem mieście jest tylko jedna parafia. Nadto znajdują się tam 3 kościoły: jeden mają Polacy, drugi Włosi. Brazylijczycy zaś chodzą do kościoła katedralnego, gdzie się schodzą wierni różnych narodowości. Ten pierwszy pomnik krajowy wystawiła gorliwość, wpływ i poświęcenie się znakomitego X. proboszcza Alberta-Józefa Gonçalves. Wybrany posłem na kongres stanu Parany tak sobie pozyskał zaufanie deputowanych, iż go jednozgodnie obrali na prezydenta Izby deputowanych. Z katedry, w której ciągle jest proboszczem, chodzi na posiedzenia sejmowe, których jest obecnie prezydentem. Gorliwy zelator o sprawy Seminaryum, na które Najprzew. X. biskup od czasu

swego wstąpienia na stolicę biskupią wszystkie swoje starania łoży, wspiera go wszelkimi siłami a mianowicie przez skuteczną propagandę na korzyść tego dzieła, najważniejszego i najpotrzebniejszego. Wskutek tego podwojonego wpływu kongres stanu Parany uchwalił subwencyę dla Seminaryum 1.000 *contos de reis* (co wynosi obecnie 1,000.000 franków). Prawo to, uchwalone przez deputowanych potwierdził gubernator stanu, Dr Franciszek Xawery da Silva. Na jednej z wizyt, którą mieliśmy zaszczyt mu złożyć zaprowadzeni i przedstawieni przez X. Alberta, jego przyjaciela, obiecał mu, że każe wykonać prawo z końcem tego miesiąca. Cały szereg loteryi tego Stanu będzie stanowił dochód na Seminaryum aż do liczby jednego miliona. Lecz wszystko to będzie długo trwało. W ostatnich dniach wybrano X. Alberta Gonçalves na senatora federalnego. Zatrzymując urząd posła Stanu i prezydenta kongresu, musi wkrótce iść do Rio, stolicy federalnej, gdzie Senat zasiada, aby brać udział w pracach tego zgromadzenia. Ustawicznie gotuje się na obronę wiary świętej i praw kościelnych, aby je módz obronić na dyskussyach, które w senacie mają się rozpocząć. Opowiedziałem Ci już nasze nadzieje, ale nie chcę Ci mówić o naszej obawie, albowiem tak wielkie dzieło, jak to, nie da się uskutecznić bez wielkich trudności. Lecz czyż nie lepiej poruczyć ją Najsłodszemu Sercu Jezusa i ciągle powtarzać: *In Te, Domine, speravi, non confundar in aeternum!* Oto 41 lat, jak powtarzam te słowa w Brazylii, miłosierdzie Najsłodszego Serca tego jeszcze nie dopuściło, ani też nie dopuści i spodziewam się, że nie będę zawstydzony.

Pobłogosław, mój Ojcze, twoje dzieci z Kurytyby

i dzieło, które im zostało powierzone a przedewszystkiem Twego posłusznego i uniżonego syna.

Bartłomiej Sipolis,
n. k. Z. M.

Sprawozdanie z Misyi

odprawionych w wschodniej Galicyi.

List JMC. X. Stefana Krzyszkowskiego do JMC. X. Piotra Soubieille, Wizytatora Prowincyi krakowskiej.

(Koropiec).

Przewielebny Księże Wizytatorze!

Na przełomie dwóch misyj, dorwawszy chwilę wolnego czasu, spieszę podzielić się z Przew. ks. Wizytatorem wrażeniami, jakie odnieśliśmy z pierwszej misyi odprawionej pod przewodnictwem Przew. ks. Buchhorna i zakomunikować łaski i nawrócenia jakie spodobało się Panu Bogu udzielić ludziom za przyczyną św. Wincentego, modlitwami drogich konfratrów i sióstr w Krakowie i we Lwowie.

Już na dworcu kolejowym w Krakowie, podniósł Bóg i zachęcił do gorętszej żarliwości serca nasze widokiem biednych emigrantów ze wschodniej Galicyi. Sprzedali oni te trochę pola, które posiadali, za bezcen żydom i chaty i chudobę i pospieszyli do Brazylii, gdzie im obiecywano darmo złote góry, ale już w Bremie brakło im pieniędzy na dalszą podróż i nielitościwi ajenci zostawili ich na łaskę losu. Kilku z nich dobiło do Krakowa z żonami i dziećmi. Teraz bez centa przy duszy, zgłodniali rozłożyli się w poczekalni dworca i nie wiedzą co począć. Jeden z nich Motylowski z Zalesia, należący do parafii Jezierzań-

skiej poznał nas z płaczem, zaprowadził do dzieciny konającej na ławie w poczekalni III-ej klasy. Pieniądze za pole i dobytek jakby w błoto rzucił, a śmierć głodowa zagląda mu w oczy. Biedny ten lud ginie tak nędznie mimo, że dziś się tak dużo mówi o szerzeniu dobrobytu między wieśniakami.

We Lwowie zapewniwszy sobie nową pomoc w modlitwach, wystarawszy się o jurysdykcyą i potrzebne na misyach *facultates*, umocnieni błogosławieństwem Najprzew. ks. Biskupa, zabrawszy z sobą W. ks. Steindla, ruszyliśmy na Stanisławów do Niżniowa. Jak też to wszystko pójdzie? Ks. Superyor żartując opowiadał, że mu się śniło, że ktoś żegnając go powiedział: „*serve domus! felicem diem secundum quid*“.

I rzeczywiście cały dzień był *secundum quid*. Pod *Tłumaczem* burza się zerwała z deszczem ulewnym; wiatr był tak mocny, że myślałem, coby też należało czynić, gdyby zdmuchnął z szyn nasz pociąg. Tymczasem wiatr nietylko nie zrzucił pociągu z szyn, ale przepędził najobfitszą w deszcz chmurę tak, że gdyśmy wysiedli w Niżniowie, była już względna pogoda. Z łatwością odszukaliśmy furmanów z Koropca i ułożywszy jako tako nasze juki podróżne, puściliśmy się po oślizłej drodze. Droga szła wciąż naprzemiany, to pod bardzo wielką górę, to znów z bardzo wysokiej góry, płaszczyzn i małych wyniosłości nie było; przytem konie dworskie czteroletnie i wicher i zimno. Jechaliśmy jednak szczęśliwie *secundum quid*, a dla ostrożności jednę nogę trzymaliśmy w pogotowiu do skoku. Do Koropca z Niżniowa jest tradycyonalna mila; tradycyonalna, bo do wszystkich miejscowości, o któreśmy się pytali woźnicy, zawsze a zawsze w sam raz mila drogi. Tym-

czasem Koropca jak nie widać tak nie widać. Wreszcie furman oznajmia, że już zaraz będzie. Wjeżdżamy na silny zakręt i widzimy przed sobą Dniestr, szerszy w tem miejscu dwa razy od Wisły pod Zwierzyńcem. Drożyna wąziuchna, wisząca na stoku góry stanowiącej brzeg Dniestru, była tak śliską i wązką, że w razie wypadku nie było można i myśleć o wyskoczeniu. Pytamy woźnicy. A gdyby jaka fura z tamtej strony jechała, czy moglibyście się minąć z nią? „Czemu nie“, była odpowiedź, a myśmy się lękali, że w niektórych miejscach i nasza się na drogę nie zmieści, bo choć konie tuliły się do skalistego brzegu, to tylne koło od strony rzeki ślizgało się po samym brzeżku drogi. Zauważyłem, że to jest podróż nader poetyczna *secundum quid*. „A Koropiec gdzie jest?“, pytamy woźnicy. „A wo tam, za rzeką“. „Za rzeką? A most wnet będzie?“ „Niema, prom jest“. „Prom jest?“ W taki wicher promem jechać. „A nie utopimy się?“ „Ale gdzie, tu nigdy nie było jeszcze przypadku“. I zaczął wołać promu: „Haho! Haho! bywajcie“. Za małą chwilę wyszło z karczmy na drugiej stronie rzeki dwóch ludzi stary i młody i z flegmą zaczęli przesuwać prom na naszą stronę. Gdy dobili do naszej strony i zarzucili nadgniły i potrzaskany pomost, wtoczyły się nasze dwie bryczki na prom wśród gwałtownych podskoków własnych i promu; za nami weszło kilka kobiet wracających z jarmarku z Tłumacza. Tu *intra parentesim* nadmienić wypada, że w tych okolicach strój kobiet jest coś, przynajmniej tak utrzymują, że jest coś jak perski. Oprócz koszuli z rękawami haftowanymi należy do tego stroju tylko płat kolorowej tkaniny, przywiązany do pasa i do ziemi sięgający; drugi płat, ale na święto tylko przywiązuje się z przodu. Nadto w każdym domu

jest jeszcze serdak, zupełnie z takiej materyi jak góralska góńka, tylko że w formie dostatniejszy. Tego serdaka według potrzeby każdy członek familii używać może i używa. Można to było i na tych gazdyniach co z nami jechały uważać, bo pachy ich serdaków sięgały im po łokcie i za łokcie. Przewoźnik nasz starszy, wychudły i zgarbiony, różniący się od starego *Harona* chyba tem tylko, że zażywa w straszny sposób tabakę, a z ust wydziela woń nieczyszczonej z fuzlu gorzałki nieznanej jeszcze starożytnym, zaczął żywą rozmowę z gazdyniami wracającemi z Tłumacza. A tak gestykulował ramionami, że zaciekawiony zapytałem, o co to idzie? I dowiedziałem się, że chwilę przed misyonarzami, przeprawili się komedyanci, że się fura przewróciła, że kufry za wodą poszły, że gonił czółnem, ale dwa mniejsze uciekły, a trzeciego nie mógł wydostać, bo ciężki. Masz tobie. To zupełnie jak Ojciec *Le Gene* mówi we wstępnem misyjnem kazaniu; skoro Bóg posyła swoją misyą, to djabeł też swoją. Spojrzeliśmy z księdzem Superyorem po sobie i pokiwaliśmy głowami. Wtem słyszę, że *żeńki* okrutnie radzą, co to za komedye będą, i na co to te komedye. Więc wtrącając się do rozmowy mówię im, że już jednę komedyę pokazali, bo do rzeki się przewrócili; widocznie kara Boża za to, iż się na misyę z komedyami wybrali. Zaledwom to wymówił, aż tu spłoszyły się konie, którymi jechał ks. Steindl; za nimi i nasze zaczynają się ruszać to w tył to naprzód, wiatr kręci promem, brzegi się obracają przed naszymi oczami, a my siedzimy na furach. Aż mi serce bić przestało; myślę sobie, że i z biednych komedyantów nie należy się śmiać, bo o mało, żeśmy i my sami takiejże komedyi nie pokazali jak oni. Tymczasem dobiliśmy do mielizny

i przez nią z promu na brzeg się dostali szczęśliwie, ale *secundum quid*. Myśleliśmy, że za rzeką zaraz Koropiec, a tu znów pod górę i z góry i znów pod górę i wtedy ujrzeliśmy wspaniały na widok kościół, coś jak Skałka w Krakowie. Wedle reguł pomodliliśmy się do Anioła Stróża parafii koropieckiej i polecili naszą pracę Bogu. Jeszcze jakie 3 kilometry tłukliśmy się po kamieniach i błocie, ażeśmy zajechali z deszczem przed plebanią. Tuśmy się roztasowali, przywitali z księdzem Dziekanem i proboszczem miejscowym, odwiedzili księdza wikarego obrządku łacińskiego i złożyliśmy wizytę Przew. ks. kan. Proskurnickiemu, proboszczowi gr. kat. w Koropcu. Ks. Władysław Jul. Jachimowski, proboszcz obrz. łac. staruszek 70-letni, siwiutki jak gołąb, znany szerszemu światu z liturgii i dogmatyki wydanej przez siebie dla szkół średnich, przytem poeta i mowca, opowiadał nam o Koropcu, (Kropcu) iż za Władysława Jagiełły już był miasteczkiem. Tenże król darował proboszczowi koropieckiemu wieś Delawę za Dniestrem, której to dotacyi oryginalny akt mieliśmy szczęście oglądać. W kościele, do którego zaraz po przyjeździe udaliśmy się, aby oddać pokłon Panu Naszemu, przedstawić się niejako i prosić o błogosławieństwo w zbożnej pracy, podziwialiśmy wypchaną głowę rogacza, którego rogi dochodzą do $1^1/_2$ metra długości. Miał tego zwierza własną ręką położyć w lasach koropieckich Jagiełło i na tę pamiątkę przymocowano głowę rogacza do balustrady chóru.

Na drugi dzień po wezwaniu Ducha Ś-go przedstawił nas Przew. ks. Dziekan parafianom zaczynając od słów: „*Viri Galilei, quid adspicitis?* Mężowie Koropieccy, co się patrzycie? Oto ci mężowie, których bracia pogańskim ludom opowiadają Chrystusa, przy-

jechali do was, aby odprawić misyą. Kilka set lat minęło, a jeszcze tu w Koropcu nie było misyi". I wziąwszy za wątek myśli tekst Ewangelii na Wniebowstąpienie (bo właśnie w sam dzień Wniebowstąpienia Pańskiego zaczęliśmy misyę) wykazał łączność misyi aniołów opowiadających apostołom powtórne przyjście na sąd Zbawiciela z naszą misyą, która przez głoszenie prawd wiecznych i drogi pokuty ma nas przygotować tak, abyśmy z radością oczekiwali powtórnego przyjścia Chr. Pana.

Zaczęliśmy, co prawda, misyę pod niepomyślnemi wróżbami. Deszcz lał ustawicznie, drogi stały się trudne do przebycia, a tu większa część parafii łacińskiej leży w oddali za górami, a niektóre wsi i za Dniestrem; nadto rozmokła ziemia nie pozwalała wykończyć pracy w polu, szczególniej sadzenia kukurydzy i magdeburek (ziemniaków) to jest najważniejszych artykułów spożywczych tamtejszej ludności; a ta okoliczność działała drażniąco nawet na kamiennie spokojny temperament mieszkańców Koropca, Delawy Horyhladów i tem podobnie dziko się nazywających wsi. Nawoływać zatem musieliśmy bardzo. Lecz jakaż była nasza pociecha, gdy po kilku dniach widzieliśmy lud ten wzruszony duchowo jak rzadko gdzie, spowiadający się z największą dokładnością — prawie bez wyjątku z całego życia, a spowiadający się wśród łez i gorących westchnień dziękczynnych dla Boga i nas niegodnych, wśród uroczystego zarzekania się grzechu na wieki. „Proszę Ojca duchownego, wolę śmierć i nędzę niż zgrzeszyć jeszcze kiedy", mówiło wielu. „W piekle bym była na wieki, żeby nie misya; niech wam Bóg błogosławi, Ojcowie, żeście tu do Koropca przyjechali". Chłopiec, który nam czyści obuwie, gdy je nam raz przyniósł,

całując w ręce, powiedział nam: „Teraz dopiero wiem, jak będę żył; bo dotychczas byłem bardzo durny“. Jeden znów prosił nas, abyśmy mu swoje podali imiona, żeby to pismo oprawić w ramy i w zakrystyi umieścić. Naturalnie, żeśmy odmówili temu żądaniu, choć usilnie nastawał i z płaczem prosił o tę łaskę. Inny o toż samo prosił dla swojego domu, aby jak mówił pokazywać te imiona swym dzieciom, gdy podrosną i mówił im, patrz to ci ojcowie u nas byli i tak a tak nas uczyli żyć na tej ziemi. Słowem nie wiedzieliśmy czy płakać, czy śmiać się z radości, patrząc na działanie łaski w tych ludziach, o których mówili nam na początku, że to czysta dzicz, a w których znaleźliśmy tak wiele energii, miłości i zdrowego chłopskiego rozumu. Jakaż to musi być pociecha dla Pana Jezusa odnowić mieszkanie swoje w tych prostych sercach, co tak umieją Go kochać z pokorą i bez domieszki miłości własnej. Bo też gdyśmy im powiedzieli przed komunią św., że Pan Jezus, dobry Pasterz przyszedł do Koropca szukać zbłąkanych owieczek, a znalazłszy je powolnemi, obmył z grzechów w Krwi Swojej, przycisnął do serca i teraz przychodzi do ich duszy, aby być pomocnikiem, nauczycielem, drogą i zadatkiem szczęśliwości wiecznej — łzy błyszczały w oczach wszystkich; były to łzy żalu i miłości zarazem.

W pracach misyjnych brali udział obaj Przew. księża miejscowi obrządku greckiego. Misyę zakończyliśmy sumą, którą celebrował Przew. ks. kan. Proskurnicki, proboszcz obrz. gr. w Koropcu, w czasie której to sumy rozdano komunię św. zarówno Rusinom jak i łacinnikom. Ksiądz kanonik obrz. gr. był zachwycony rzewnem usposobieniem ludu i w swej przemowie zachęcał parafian, aby zapisali na sercach

swoich te nauki, jakie słyszeli, a w końcu podniósłszy niegodne zasługi nasze, zaintonował i nam „Mnohaja lita“.

Pochód z krzyżem, jeżeli gdzie, to tu był do głębi wzruszającym; nawet księżom łzy w oczach stały. Krzyż ten sfabrykowany przez domorosłego artystę Koropieckiego w serdaku, był arcydziełem wedle estetycznego pojęcia ludu. Wysoki na 10 metrów, dębowy, malowany przeważnie na czerwono z silną domieszką ornamentów ufarbowanych na zielono, niebiesko i biało, miał na sobie pasyjkę, na trzech kończynach ramion trzy duże kule białe, daszek okrągły zielony, boki i ścianę obok figury Ukrzyżowanego z fontaziami żółtymi, wiszącymi na drucikach u ząbków daszku i ścian bocznych; nadto zdobiły go jeszcze włócznia, gąbka na żerdzi, drabinka, obcążki, młotek i inne narzędzie męki męki Pańskiej malowane na niebiesko, a własnoręcznie przez domorosłego artystę wykonane. Charakterystyczne były dwa szkaplerze czerwone, które jakaś pobożna ręka kupiła i włożyła na szyję P. Jezusowi Ukrzyżowanemu.

Po pożegnaniu się z ambony z Przew. księdzem Dziekanem i jego parafianami, nie mogliśmy doczekać się końca żegnaniom. Osobno panie, jako deputacya inteligencyi „za trudy przechodzące siły ludzkie“ przyszły do zakrystyi dziękować księdzu Superyorowi, każdy chłop z osobna jako deputat własnej osoby dziękował i prosił o modlitwy, aby mu Pan Bóg grzechy odpuścił, lub życzył zdrowia i lat i *carstwa*, a niektórzy i po trzy razy wracali się żegnać. Szczęście, że piękna pogoda kazała im spieszyć w pole, aby sadzić magdeburki i kukurudzę, boby się byli do wieczora żegnali.

Wolne pół dnia poświęciliśmy zwiedzeniu pa-

łacu Pana Stanisława hr. Badeniego, który dawniej należał do rodziny PP. Mysłowskich — i złożeniu wizyty Wnemu ks. Prokopowi Huk wikaryuszowi obrz. gr. w Koropcu, na którą to wizytę nie mogliśmy wcześniej znaleźć sposobnej chwili. Nazajutrz w Wilią Zielonych Świątek, podziękowawszy P. Jezusowi za opiekę i błogosławieństwa tak licznie od Niego odebrane przez czas trwania Misyi w Koropcu, ruszyliśmy wozami do Barysza.

Do Komunii Śtej przystąpiło w Koropcu osób płci żeńskiej około 370 a męskiej około 330. Do bractwa Trzeźwości zapisało się około 500 osób.

Mając nadzieję, że Przew. X. Wizytator nie zapomni i nadal popierać prac naszych modlitwami własnemi i Czcigodnych naszych konfratrów, zostaję Najprz. X. Wizytatora w Sercach Jezusa i Maryi powolnym synem.

Barysz.

Z Koropca do Barysza wyruszyliśmy w śliczną pogodę. Przyjechały po nas z Barysza dwie fury a okazalszej z nich właściciel mazur trochę z szlachecka ubrany miał być, że tak powiem głównym konduktorem jazdy. Jechaliśmy pod górę dobrą godzinę; czasami droga była tak stromą, że ledwie koniki mogły się wdrapać. Że zaś przez całą godzinę szły li tylko pod górę, więc się niepomiernie zgrzały i zmęczyły. Gdyśmy wjechali na najwyższy szczyt, prześliczny widok roztoczył się przed naszemi oczyma. Niebo czyściuchne jakby błękitną oponę rozwiesił nad głowami, żadnej chmurki; w okół nas na rozległym widnokręgu i przed nami i za nami z obu stron mnóstwo wąwozów, parowów, czubków gór, to łysych,

to zieleniejących zbożem, to znów porosłych krzakami i lasami — a za nami w dole pogarbiony Koropiec przerznięty rzeczką Koropczyk opasany Dniestrem, który ukryty cały za górą, w jednem miejscu tylko widny zdawał się podobny do olbrzyma leżącego w ukryciu, co z za węgła domu ciekawym okiem patrzy na tych *misyonów* z Krakowa, którzy w spokojnem jego królestwie narobiwszy chałasu obecnie odjeżdżają. Kościół koropiecki, który stoi na porządnem wzniesieniu, został het w dole pod nami.

Z górki już lekko zjeżdżało się w doliny, tem bardziej, że droga była sucha a gruda z zeschłego błota już była nieco rozjeżdżoną. Raz tylko musieliśmy przejeżdżać przez długie bagno zalegające wszerz całą drogę. Koniki wpadły po brzuchy, wózki powyżej osi, a że już wody nie było po wierzchu, więc w gęstem błocie gramoliły się konie i przewracały, wózki krzywiły się, słaniały ale w końcu jakoś szczęśliwie znaleźliśmy się za bagnem. Gorzej było na jakiejś bagnistej rzeczce, bo konie skręciwszy, zaryły przednią osią w ziemię i nadłamały dyszel. Nadłamanym dyszlem niebezpiecznie jest z góry jechać, bo z góry zjeżdżając, cały ciężar wózka utrzymują konie dyszlem; niechby gdzie na skręcie dyszel pękł do reszty, to pewnie konie zatrzymać wozu ogonami nie potrafią, a uderzając nogami o wagi, rozbiegają się i może się zdarzyć wielkie nieszczęście. Ale w rzeczywistości nic się nie zdarzyło i szczęśliwie dojechaliśmy do Barysza.

Jechaliśmy trzy godziny wprawdzie, ale przez te trzy godziny przyjechaliśmy jakby z Azyi do Europy, tak różni się ludność Barysza od mieszkańców Koropca używających strojów perskich. Ludność tu przeważnie obrządku łacińskiego, wielka liczba mazu-

rów zamieszkujących jedną odnogę tego miasteczka czy wsi, co jak pająk kilku długiemi na milę pasmami się ciągnie. Mazury ci nawet nie umieją dobrze po rusku. W środku miasta, które dawniej gdy Buczacz był mały większem było od niego, jest rynek zarośnięty trawą, zdobny kapliczką i trzema krzyżami bardzo wysokimi, które stoją rzędem jeden za drugim. Magistrat o czterech frontowych okienkach ulepion z gliny z gontowym jednak dachem i ganeczkiem wspartym na dwóch drewnianych słupkach, stanowi jednę linię boczną rynku. Drugą tworzy kościół łaciński i plebania. Trzecia linia jest nierówna i trochę sielankowa, bo na pagóreczku w oddali widnieje coś jakby bóżnica a obok coś jakby budka rzeźnicza. Czwartą linię tworzą lepianki przeważnie słomą pokryte. Przedefilowawszy na przełaj przez rynek wtoczyliśmy się z hałasem na podwórze plebańskie, gdzie nas serdecznie powitał Przew. X. Proboszcz Siegmund, dobrze znany naszym konfratrom ze Lwowa i bardzo przyjazny Zgromadzeniom Obu Rodzin Śgo Wincentego á Paulo. Nagle znaleźliśmy się jak w domu u siebie. Złożyliśmy wizytę naprzód P. Jezusowi, potem Przew. X. Zofijowskiemu *ritus graeci* i roztasowawszy po pokojach nasze kufry zaczęliśmy badać grunt, na którym mieliśmy zacząć pracę. Lud tu nie zły. Pamiętają jeszcze misyę przed 16 laty odprawianą przez naszych konfratrów Przew. księży Kiedrowskiego i śp. X. Bąkowskiego. Jeszcze niektórzy pamiętają jakie przestrogi im dawano, jak śp. X. Bąkowski odmawiał z nimi pacierz poranny i wieczorny i jak błogosławił dziatki. Zaufanie więc ludzi łatwo nam było pozyskać, co na Podolu wiele znaczy. Frekwentacya była tak liczna, że mimo iż misya na 4 stany była rozłożoną, to żadnym razem nie mogliśmy

całej seryi na czas wyspowiadać. Podziwienia godną była też ich gorliwość w uczęszczaniu. Co rano przed 4-tą godziną już z rozmaitych stron dolatywały nas śpiewy spieszących gromadnie na misyą, a ledwie odczytaliśmy punkta medytacyi już jedna po drugiej procesya zawijała na cmentarz kościelny. Najdzielniej jednak spisali się chłopcy; bo nietylko że ostro śpiewali, ale siedzieli w kościele kamieniem od rana do wieczora, poważnie rachowali grzechy, wszyscy klękli od wódki, przyrzekli trzymać się w pobożności, po muzykach nie chodzić, kościoła pilnować, słowem byli dla nas przyczyną wielkiej pociechy. Mężczyźni to samo, tylko że już nie tak zadziwiającym jest statek w starszym jak w młodym wieku. Kilku między mężczyznami a wielu między chłopcami mieli pisane grzechy; i to nie karteczka jedna lub dwie ale formalne zeszyty. Ileż to taki biedny grzesznik nasiedział się po nocach, żeby dwa lub trzy arkusze papieru zapisać i jak gruntownem być musi takie pracowite nawrócenie. Dodajmy do tego, że nietylko atramentem papier był pokryty ale w większej jeszcze części łzami gorącej skruchy i obrzydzenia grzechu. I tu przy komunii świętej odbywający misyę budowali nas przejęciem się uroczystością chwili, ułożeniem zewnętrznem ciała wyrażającem głębokie skupienie, wyrazem twarzy malującym błogie usposobienie serca i spokój jakiś dziwny prawie niebieski.

Misyi w Baryszu jakoś osobliwym sposobem P. Bóg błogosławił. Naprzód pogoda przecudna ustawicznie nam sprzyjała. A gdy już ziemia zeschła i na cmentarzu kościelnym, który z początku zarośnięty był obficie trawą a w czasie drugiej seryi wyglądał już jak publiczna droga — kurzawą się okrywał, wtedy deszczyk rzęsisty nocą lub wieczorem po zakończonej

pracy dziennej skrapiał ziemię i ożywiał spragnioną roślinność, aby ludzie nie narzekali, że misyonarze dla swej wygody, aby się nie dusić w kościele u Pana Boga pogodę wyprosili — a żyto schnie.

Dalej na czas misyi Baryskiej wypadło Zesłanie Ducha Śtego, odpust w uroczystość Trójcy Śtej, Oktawa Bożego Ciała polskiego i ruskiego. A więc procesyj było około dwadzieścia, między którymi dwie wspaniałe: na Boże Ciało polskie w czwartek i ruskie w niedzielę. Ołtarze ustawione na rynku, ludności bez liczby, chorągwi, obrazów, odznak brackich i światła mnóstwo. Lud tu w przeważnej części umie czytać, a więc pieśni z kilku tysięci piersi wstrząsały powietrzem i zdawały się dochodzić aż do stóp Tronu Bożego i jednać błogosławieństwo dla Barysza, który w tak cudnej zgodzie obu obrządków katolickich czcił Boga ukrytego pod postacią chleba.

Błogosławienie dziatek, których liczba przenosiła 1.000, odbyło się we wzorowym porządku. I mimo że kościół baryski równający się wielkością Śtej Annie w Krakowie opasany był podwójnym wiankiem matek z dziećmi na rękach, jednak ani ścisku ani tłoku żadnego nie było.

Tak nam ten lud przypadł do serca, że choć misya trwała tu już 16 dni, i choć byliśmy porządnie zmęczeni, jednak żal nam było ich porzucać. Do spowiedzi było dosyć jeszcze niedobitków, X. Proboszcz zatrzymywał, ale cóż kiedy i z Kowalówki na gwałt wołano, więc trzeba było odjeżdżać. Ten sam krzyż, który 16 lat temu postawili nasi konfratrzy przy zakończeniu misyi w Baryszu jako świadectwo przymierza zawartego z Bogiem, oczyszczono obecnie heblem, poprzeczne ramię, już nadgniłe zastąpiono nowem, cały krzyż pięknie pomalowano i znów postawiliśmy

go jako świadectwo odnowionego z Bogiem przymierza. W ten sens przemawiał pod krzyżem Przew. X. Superyor Misyi, a gdy na końcu oznajmił licznie zgromadzonemu ludowi, że skończyliśmy wszystko i pożegnać ich musimy, lament powstał nie do opisania. Spazmatyczny płacz kobiet, zaczerwienione a łzami wilgotne oczy mężczyzn w nas utkwione przemieniły się w głośny płacz, gdyśmy oddawali pożegnalne uściśnienie Przew. X. Proboszczowi. Wtedy i zacny X. Zofijowski, miejscowy Proboszcz *ritus graeci*, przemówił do nas w pięknej ruszczyźnie, ściągając na nas całe potoki błogosławieństw Bożych. Dodać tu należy, że przez cały przeciąg misyj Przew. X. Zofijowski brał w niej żywy udział i sumę konkluzyjną sam celebrował, a tej jego celebrze wtórował pięknie dobrany chór śpiewaków miejscowych. W ciągu misyi prosił nas tenże zacny Proboszcz na obiad a na odjezdnem prosił, byśmy go żywo zachowali w pamięci.

W ciągu tej misyi urządziliśmy jednodniową exkursyą do wsi *Porchowej* należącej do parafii baryskiej, gdzie jest zbudowana kaplica dla ludności obrz. łaciń.

Jak się tutaj lud przywiązał do tych, co mu pokutę głosili, pokazuje się i z oznak okazywanych nam po drodze, gdyśmy już bryczką przez Barysz do Kowalówki jechali. Wybiegali z chat, składali ręce, lub zawodzili płacząc. Jakaś kobieta okopująca ziemniaki z dziewczynką spostrzegłszy, że misyonarze drogą jadą, rzuciły sapy, zaczęły biedz cwałem ku drodze a widząc, że nie zdążą, zasłoniwszy fartuchami oczy poczęły płakać. Inna znów załamywała ręce ku niebu jakby się jakie nieszczęście stało. Dziwne to są pewnie formy pożegnalne ale okazują, jak wysoko ceni nasz lud łaskę nawrócenia.

W Baryszu wyspowiadaliśmy kobiet 950, dziewcząt z górą 530, chłopców około 600 a mężczyzn 800. Od wódki przyrzekali prawie wszyscy.

Kowalówka.

Tutaj jakby dla oznaczenia energii i pracowitości tutejszego najzacniejszego X. Proboszcza, zaczęliśmy misyę zaraz po przybyciu. Ciekawa to rzecz widzieć, co może praca jednego człowieka przejętego na wskróś duchem Bożym. Z parafii dość zaniedbanej w przeciągu paru lat zrobił Wieleb. X. Proboszcz tutejszy coś jakby początek królestwa Bożego na ziemi. Wszyscy parafianie mówią po polsku; katechizm znają jak teolodzy, szczególniej młodsi; do Arcybr. Serca P. Jezusa należy cała parafia, do żywego Różańca prawie wszyscy, tak, że nawet chłopcy za krowami na pastwiskach Różaniec śpiewają, a wieczorami po odmówieniu wspólnie cząstki Różańca u Starszej Siostry lub w dworze wracają ze śpiewem do domów a cała dolina kowalowiecka rozlega się echem pieśni kilku gromadek wracających w różne strony do swoich domów. Co więcej X. Proboszcz ma dar przelewania swej żarliwości w drugich. I tak w Szwejkowie uczynił sobie z domu Wielmożnych Państwa Dziedziców Wsi coś jakby wikaryatkę czy expozyturę swego Probostwa. Tam panie nauczają katechizmu, szyją aparaty kościelne, upominają błądzących, leczą chorych, wspomagają biednych, zajmują się strojeniem kaplicy w Szwejkowie i kościoła w Kowalówce (które to oba przybytki Boże wyglądają jak saloniki), szyją szkaplerze itd. itd.

W takiej parafii misya służy chyba do utrwale-

nia posiewu Bożego i w takim też duchu pracowaliśmy od świtu do późnego wieczora, bo sam miejscowy duszpasterz przykładem swoim nam przodował. Objawy gorliwości ludu tutejszego w braniu udziału w misyach były tu jeszcze większe niż w Baryszu. A ponieważ X. Proboszcz życzył sobie, aby księża Misyonarze jak najwięcej dusz sami spowiadali i w tym celu bardzo nielicznie wzywał do pomocy spowiedników, z okolicy więc biedni parafianie po 4 i 5 dni cierpliwie czekali przy konfesyonałach aż do 8-mej godziny wieczorem, a jednak co dnia przychodzili, aż się dostali do spowiedzi. Szczęście, że Przew. X. Superyor Tyczka, który z misyi baryskiej musiał wracać do domu dla ważnych powołujących go tamże przyczyn, przysłał nam na drugą seryę do pomocy Wiel. X. Włodarczyka, bo niewiadomo czybyśmy dali radę spowiedziom. Przebiegu misyj nie będę opowiadał, bo był on taki sam jak w Baryszu, tylko że pod krzyżem i sam X. Proboszcz i my płakaliśmy przy pożegnaniu jak bobry. Bo i któżby takiego ludu i takiego zacnego męża wedle Serca Bożego nie ukochał. Chciał nas gwałtem zatrzymać choćby na 4 lub 5 dni jeszcze, ale że takie nieprzewidziane przedłużenie pobytu zdala od domu jest niepodobnem, więc musieliśmy odjechać. Przed odjazdem jeszcze zrobiliśmy ekskursyą do jednej z wsi inkorporowanych do parafii kowalowieckiej mianowicie do Szwejkowa. Przez pół dnia zrobiliśmy benedykcyę dzieci, poświęcili szkaplerze, koronki, krzyżyki, wodę Ś̓tego Wincentego, przyjęli kilkoro od wódki, odprawili sumę, wygłosili jednę naukę i wyspowiadali niedobitki. — W czasie misyi kowalowieckiej wyspowiadaliśmy z górą wszystkich dusz 2.500. Już odjeżdżając po drodze poświęciliśmy jeszcze krzyż jakiś przydrożny i wśród tysią-

cznych żegnań odjechali na dworzec kolei w Monasterzyskach.

Piękny to był wianuszek misyj, na których tyle dusz wróciło do Boga, tyle majątków uchroniło się od zrujnowania przez nieszczęsną wódkę — bo na wszystkich trzech misyach prawie wszystko przyrzekało od wódki. Wiedząc jak prace misyjne leżą Przew. X. Wizytatorowi na sercu, jak doniosłymi są dziś ich owoce, myślę, że tym króciuchnym ich opisem sprawię Ci Najprzew. X. Wizytatorze przyjemność. Dałby to Bóg, żeby owoce tych misyj tak piękne i liczne nie były czasowe ale trwałe aż do wieczności szczęśliwej.

X. Krzyszkowski.

Sprawozdanie

z dalszych misyj w ubiegłym roku odbytych w Zachodniej Galicyi przez XX. Misyonarzy krakowskich.

List JMC X. Sokołowicza do JMC X. Piotra Soubieille Wizytatora Prowincyi Krakowskiej.

Czcigodny X. Wizytatorze!

Łaska P. N. J. Chr. n. b. z n. z.!

Jeszcześmy nie zupełnie wytchnęli po nawale pracy i utrudzenia z Lisiej góry a już do nowego żniwa nas wezwał w swojej winnicy Najprzewielebniejszy J. O. Książę-Biskup Puzyna. Na ten raz polem pracy misyjnej był dekanat Suski; myśmy dostali 5 parafij, resztę misyonarze ze Zgromadzenia WW. OO. Redemptorystów.

I) Stryszów.

Zmarnowani, schorzeli, znękani wybraliśmy się na to żniwo, wszystko jedno co będzie. W sobotę dnia 12 września w samo południe stanęliśmy na pierwszem w tej kolejce polu misyjnem tj. w Stryszowie za Kalwaryą. Już od stacyi kolejowej Stronie, gdzie się rozpoczyna parafia Stryszowska napotykaliśmy po drodze gromady ludzi, którzy z chat powybiegali, żeby się misyonarzom pokłonić i przypatrzyć. Na stacyi w Stryszowie czekał na nas miejscowy Proboszcz X. Jacek Kopiński. Z nim udaliśmy się ku kościołowi, gdzie nas znowu powitali poblizcy parafianie i ze światłem, chorągwiami, wśród odgłosu dzwonów wprowadzili do kościoła. Odbyło się błogosławieństwo Najśw. Sakramentem; poczem przemówił do nas i do zebranych parafian X. Proboszcz. Nam oświadczył, że z psalmistą, jak jeleń spragniony źródła, jak kania deszczu, tak, a może i więcej z utęsknieniem wyglądał tego upragnionego dnia 13 września, w którym misya w jego parafii ma się rozpocząć; bo przyszedłszy w charakterze proboszcza do tego ludu znalazł go zaniedbanym, schorzałym na duszy tak, że począł wątpić, czy przy najlepszych chęciach potrafi tu co zrobić, myślał nawet rezygnować z probostwa, na które przed miesiącem kanonicznie instytuowany został. Jedyną dla niego pociechą i otuchą w tem wahaniu się była i jest wiadomość, że tu niebawem misya się odbędzie. Nas witał najserdeczniej i do pracy zapraszał a parafian wzywał, żeby korzystali. Nakoniec siebie i nas i parafian a w szczególności odbyć się mającą misyę polecił Najświętszej Maryi Pannie, której cudowny obraz w tutejszym kościele od dawna łaskami słynie, a w której święto Pocie-

szenia, obchodzone tu z odpustem, ma się misya rozpocząć.

Przemówienie to gorące ludzi do łez pobudziło, a nam dopiero ciepło było, skorośmy posłyszeli, że wpadniemy z deszczu pod rynnę. Lisiogórskie biedy jeszcze po kościach pokutują — a tu nowe się sypią. Dziej się wola Boża! Odprowadzono nas paradnie na plebanię, gdzie sobie każdy kącik obrał, a potem całe popołudniu debatowaliśmy, z którego końca się do tych smyków zabrać. Dosyć znaczna część parafian, buntowanych oczywista przez żydowstwo, pomrukiwała, że na misyę wcale nie pójdą, bo im to nie ciekawe, a tu prace pilne w polu czekają. Nazajutrz zrana po prymaryi znowu im roztrząsnął sumienie ks. Proboszcz, stosując do nich ewangelię na tę niedzielę przypadającą (XVI po Świątkach), że z małymi wyjątkami wszyscy są tacy, jak ten opuchlec ewangeliczny: pijacy, złodzieje, krzywdziciele, niesprawiedliwi, nieczyści, leniwi itp. i jeszcze o misyę potrącił. Na sumę zleciało się narodu, że aż na polu stali. Po „*Veni Creator*“ znowu nawoływanie, żeby się wiernie schodzili, gorliwsi leniwych i tępych ciągnęli. A kiedy jeszcze do tego przyszły groźne „zaklęcia“ i obietnice, jakie zwykle ogłasza i przyjmuje senior nasz ks. Kamiński, już nie było rady — chciał nie chciał — każdy musiał przyjść. Kobiety i dziewczęta na pierwszy ogień. Same one zwykle nie tyle skorzystają, ale drugich dobrze naganiają — jak te dzwony, co, choć same na wieży wiszą, jednak ludzi do kościoła swoimi jękami zwołują. Zbiegło się ich tu 1400. Ani połowy swojej misyi nie odprawiły, a już latają, uganiają, piszą, telegrafują za chłopami, którzy gdzieś na robocie byli, żeby przyjeżdżali, bo tu takie „cuda“ i odpusty w Stryszowie nastały, jakich i Kalwarya

nie widziała. Niejedna zmyśliła, że chora, żeby tylko chłopa na misyę ściągnąć. Nas ciągle buntowały: Oj! ostro też ostro Jego Moście, na chłopów wołajcie! Na drugą tj. męską seryę zeszło się tej kanonieryi 1200; zatem do spowiedzi stanęło wszystkich z górą $2^1/_2$ tysiąca. A tu jak na nieszczęście księża sąsiedzi sami równocześnie odprawiali swoje rekolekcye w Kalwaryi i pomoc w spowiadaniu bardzo skąpo płynęła. Poczciwy ks. Wądrzyk z Budzowa pieszo dwa razy przyszedł, ks. Heumann probosz ze Zembrzyc też trochę pomógł, OO. Bernardyni częścią u siebie, częścią tu na miejscu spowiadali — ale co to wszystko na taką masę! Na razie niby wszystko się wyspowiadało, ale jeszcze po misyi dobry miesiąc miał proboszcz robotę z poprawkami i dodatkami. Przezacny ks. Stypuła, u któregośmy w Porębie Żegoty na wiosnę pracowali będąc tu przez 7 lat wikaryuszem wielu z całego życia wyspowiadał. Wielu także chodziło do nas na Kleparz na rekolekcye jeszcze za czasów ks. Kowalika, o którym też wspominają, jak o apostole swoim.

Jakiż pożytek i jakie skutki z misyi w Stryszowie? Na to nie wiem co napisać, bo misyonarz na misyi to jak ten nurek, co na dnie morza pereł i kosztowności szuka; czasem i prosty kamień chwyci, a myśli, że perłę znalazł; ale czasem się też i nie zawiedzie. Tuśmy widzieli z wielkiem zbudowaniem i pociechą naszą jak obydwa dwory z obrębu tej parafii tj. miejscowy i Zakrzowa w całej misyi gorąco i wytrwale udział brały. Pan kolator Dr. Franciszek Łubieński z innych parafij ludzi najął do pracy w polu, żeby jego czeladź, służba i robotnicy mogli być na misyi. Staruszka J. W. P. Górczyńska całymi dniami siedziała i popłakiwała w kościele. Córka jej

p. kolatorowa Łubieńska z dziećmi to samo. PP. Kwiecińscy z Zakrzowa, szkoła, miejscowy zarząd kolejowy i służba — wszystko w komplecie stanęło. To wielka pociecha, a do pracy zachęta. Co do reszty parafii notoryczne tu, jak wszędzie nieomal, było pijaństwo i to niesłychane. Nie było święta ani odpustu, żeby w karczmie tuż pod kościołem po dobrym napitku nie zabrano się do bitek i to zbójeckich — to uchodziło za dobry ton i za zwyczaj latami uświęcony. Kiedy nowo-przybyły proboszcz zaczął na ten dziki zwyczaj nastawać, to w tę samą niedzielę w nocy zgraja pijaków chciała mu w plebanii okna powybijać i tę starą ruderę do reszty roznieść. Żydkowie tylko tę modę kanonizowali, bo to woda na ich młyn: ciągli z tych zaślepionych biedaków co i jak chcieli. Pamiętam, kiedy pytałem o kartki bractwa św. Trzeźwości niedawno w dyecezyi zaprowadzonego, ks. proboszcz podając 200 kartek wpisowych powiedział: Ej! nie wiem, czy i tyle przystanie, aż tu potem organista zdążyć nie mógł z zapisami, tak się garnęli — i przystąpili wszyscy. Żydzi na to zgłupieli. Miejscowy arendarz, u którego dawniej zawsze było hucno i gwarno przez 1½ tygodnia zaledwo 1½ litra gorzałki wyszynkował i to przejezdnym ludziom. Teraz jest w wielkim kłopocie, bo niedawno zapłacił czynszu od samego budynku 450 złr., a jeżeli tak dalej pójdzie jak dotąd to chyba i 45 złr. nie utarguje. Czas też, czas był największy, żeby się Bóg pomścił za krew katolicką, którą nieraz obryzgane były ściany u tego niecnego semity. Kółka rolnicze i katolickie sklepy były tu nieznane; przed kilku laty jeden z poważnych gospodarzy tutejszych próbując szczęścia otworzył prywatny katolicki kramik; ale wkrótce musiał wszystko zwinąć, bo żydek lepiej

podświadczał i nadskakiwał. Teraz, dzięki Bogu, reakcya wielka nastała: zerwali z kieliszkiem, to i do żydów affekt ostygnął. W kilka tygodni po misyi opowiadał nam ks. Kopiński, że już się umawiają z właścicielem karczmy, żeby ją na sklep kółka rolniczego wynająć i sprawa wkrótce się ma zakończyć, pozbędą się wroga, który dawno w kryminałach powinien siedzieć. Drugi katolicki sklep prywatny przedsiębiorca niezadługo ma otworzyć. W Zakrzowie z końcem roku kończy się dzierżawa karczmy gminnej żydowi; karczma stanie się katolicką gospodą; a żydek pójdzie dalej szczęścia szukać. To wszystko znaki poprawy, a przynajmniej zwrotu ku lepszemu. Ksiądz proboszcz widząc ten ruch łaską misyjną wywołany już zaniechał myśli o rezygnacyi, owszem podczas misyi samej tj. w ostatnim dniu kiedyśmy oddawali w opiekę N. P. Maryi parafię stryszowską zwołał przyjaciół i sąsiady i odbył swoją instalacyą. Przybył Czcigodny ks. dziekan Marcellin Narcyz Klimkiewicz, dalej dwaj seniorzy dekanatu: ks. Górkiewicz, były dziekan makowski i prob. na Mucharzu, ks. Kan. Procner ze Suchej i kilku Ojców Bernardynów. Po spełnieniu przepisanych ceremonij odezwał się ponownie już nie jako gromiciel, ale jak ojciec do dziatek ze łzami w oczach ks. Prob. Kopiński zapewniając parafian, że skoro tyle znaków poprawy widział u nich w czasie misyi, już nie myśli uciekać, ale tu chce żyć i pracą swoją podtrzymywać, co się na misyi zaczęło i tu kiedyś kości swoje złożyć. Nam się również przy końcu na sercach ulżyło. Prawda, napracowaliśmy się tu okropnie; ale poznawszy w ks. proboszczu kapłana uzdolnionego, a przytem świątobliwego jak rzadko duszpasterza, poznawszy lud zaniedbany wprawdzie, ale mający serce dobre my-

śleliśmy sobie: Przecie ta praca na marne nie pójdzie. Jakeśmy z pewnem niadowierzaniem patrzeli na ostentacye, z jakiemi nas przyjmowano, tak znowu przy odjeździe błogosławiliśmy ich i w głębi serc zachowali, życząc najobfitszego wzrostu i plonu temu posiewowi. To początek poprawy.

II. Mucharz.

W poniedziałek 21 września zakończywszy zrana misyę w Stryszowie zaraz popołudniu ruszyliśmy do Mucharza, żeby tam na nieszporach nową pracę rozpocząć. Bez wstępów i zagajeń wpadliśmy od razu *in medias res*. Prarafia prawie tak liczna jak w Stryszowie, chociaż niektóre stosunki były tu smutne, jednak przez kilkanaście lat ostatnich posyłał tu Bóg gorliwych i zacnych kapłanów i ich pracy przy łasce bożej zawdzięczać należy poczciwość ludu, jakąśmy tu zastali. Tu przez 9 lat z górą pracował zacny ks. Kopiński, od któregośmy przyjechali. Kościół wielki, konfesyonały wygodne, praktyczne, lud dosyć wyrobiony — to praca szła przyjemnie i gładko. Jedyny sęk natrafiliśmy w garstce Stojałowszczyków, którzy podtrzymywani częścią przez gniazdo tych szerszeni w Suchej, a głównie przez jednę zawziętą babę, fanatyczną zelatorkę tego pseudo-proroka albo wcale na misyę nie przyszli, albo też przychodzili z wyklętemi gazetkami do kościoła i uporu swego wcale nie porzucili. Pomoc była znaczna i serdeczna. Ks. Dziekan Klimkiewicz codzień tu był, księża Kowalówka prob. z Leńcz i Boba expozyt aż z Mikuszowic tu przybyli. Na pierwszej seryi wyspowiadało się 1100; chłopów stanęło 900, aleśmy tylko zdołali 609 wyspowiadać, resztę po misyi słuchano. Kolator p. Tetschel, poczciwy Czech i sam przyszedł i w czasie misyi

browar zamknął, żeby ludzie mogli korzystać. Zresztą nie ma tu tak dalece o co ciekawego zawadzić.

III. Zembrzyce.

Z Mucharza odwieziono nas podobnie jak ze Stryszowa paradnie, z banderyami — choćby i dlatego, żeby się gorszymi Mucharzanie od Stryszowian nie zdawali. W sam św. Michał na nieszpory zajechaliśmy do Zembrzyc. Jaka tu różnica! W przeszłym tygodniu pracowaliśmy w kościele obszernym, wygodnym, wśród ludu ładnego, słyszeliśmy śpiewy poważne, jak na boską chwałę przystoi; tu kościółeczek drewniany, ciemny, cała wieś w jakiejś kotlinie ze wszystkich stron zamknięta, wszędzie pełno błota, kałuże same, lud jakiś dziki, chytry, nabożeństwa pytlują jak pańszczyznę, byle zbyć tego P. Boga; dzieci zuchwałe, rozpuszczone jak baty dziadowskie: ani kraj, ani obyczaj zembrzycki na nas wielkiego uroku nie zrobiły.

Większa połowa parafian zembrzyckich zajmuje się dosyć podłem rzemiosłem tj. zabijaniem koni. Był tu przed laty zwyczaj (i teraz pokątnie praktykowany), że chcąc i tę odrobinę krwi, jaka przy zabijaniu ze szkapy uchodzi, zużytkować, wbijali koniom noże w gardło — i tak puszczali na ogrody lub pola, żeby je tym sposobem użyźnić. Ztąd słyną w całej okolicy pod nazwą „koniodrzyków“ i w plebańskich pismach zanotowani są jako „*equicidae*“ — co na jedno wychodzi. Inni znowu zajmują się piekarstwem i produktów swego kunsztu całej okolicy dostarczają. Sławne tu są ich tak zwane „bugle“: są to małe kółeczka z ciasta coś w rodzaju obwarzanków galicyjskich — tylko maleńkie. Za 2 centy dostanie tego cały różaniec — ciasta nie wiele a dużo wygląda, bo to jakieś

takie nadmuchane. Niema odpustu, ani jarmarku, jak tego delikatesu zembrzyckiego nie nawiozą. Bardzo to lubią tutejsi pół-górale czyli „Kleszczaki“ — jedno że taka u nich tradycya — a potem, że tym sposobem tanio zęby i żołądek oszukują. Na skórnictwie i piekarstwie polega ich cały przemysł. Światami ciągle jeżdżą — nawet na Boże Narodzenie niema wszystkich w domu. Święta u nich niczem, byle zarobić. Na misyę stanęło: kobiet i dziewcząt 700, chłopaków i chłopów 500. Sąsiedzi z Tarnawy, Budzowa, Krzeszowa, Stryszowa i Suchej dopomagali, a ledwieśmy skończyli. Ślubowali wszyscy. Na koniec misyi przybył z Krakowa O. Stefan Dominikanin i zaprowadził kanonicznie Różaniec wieczny. Trochę się tu jakoś cieplej zrobiło; ale czy i jak długo to potrwa? We środę dnia 7-go października pojechalismy nieco wytchnąć w Krakowie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Ks. J. Sokołowicz.

KRONIKA.

Paryż. Tak groźnie dziś wszędzie rozwija się socyalizm, tak często spotkać się z nim musi kapłan, a zwłaszcza Misyonarz, którego zadaniem życia jest nauczać maluczkich tego świata, ubogich, to też słuszną jest rzeczą, aby kwestyami społecznemi więcej aniżeli kiedykolwiek się zajmować i uzbroić się w odpowiednią wiedzę, aby w razie potrzeby skutecznie módz bronić zasad na jakich chrześciańskie społe-

czeństwa się opierają, W domu też macierzyńskim Zgrom. Misyi w Paryżu zaprowadzone zostały osobne wykłady kwestyom socyalnym poświęcone, rozłożone na lat dwa. W pierwszym kursie wykładane będą zasady naukowe i zasady społeczeństwa chrześciańskiego przedewszystkiem na podstawie encyklik Ojca św. Leona XIII, drugi kurs obejmować będzie „historyą rozwoju kwestyi socyalnej".

Austrya. Misyonarze tej prowincyi pracują z wielkiem powodzeniem na misyach w Węgrzech. Oto jak jednę z nich opisuje X. Medits w liście do Przełożonego generalnego. „Chcę Cię uwiadomić o misyi, która została ubłogosławiona najbardziej ze wszystkich misyi, które odbywałem od 27 lat, odkąd mi dobry Bóg i przełożeni pozwalają nad tem dziełem pracować.

Misya ta odbyła się w Arakszallas w Węgrzech. Na stacyi kolei żelaznej, oczekiwał nas burmistrz z deputowanymi miasta. Przywitawszy nas kilku bardzo życzliwemi słowami, towarzyszył nam do miasta. Wszystkie ulice przez któreśmy przechodzili, były z dwóch stron napełnione mieszkańcami, którzy mówili: „Dzięki niech będą Chrystusowi Panu;" albo: „To Dobry Bóg Was tu przyprowadził i nam dał". Przed kościołem było około 3.000 ludzi, z których większa część płakała z radości, widząc misyonarzy. W drzwiach kościoła oczekiwał nas X. Proboszcz z swymi dwoma wikarymi. Towarzyszył nam do wielkiego ołtarza, gdzie po odmówieniu kilku modlitw, wyrzekł do wiernych kilka słów pełnych zapału i miłości, prosząc ich i zaklinając na miłosierdzie Boże, aby dobrze użyli czasu misyi dla zbawienia duszy. Odtąd był wielki kościół napełniony wiernymi, którzy chcieli odbyć dobrą spowiedź z całego życia. I acz-

kolwiek nas było 4 misyonarzy, X. proboszcz i jego dwaj wikarzy, i trzech, a niekiedy czterech innych księży nam pomagało w słuchaniu spowiedzi, nie mogliśmy jednakże zadość uczynić tym, którzy się chcieli spowiadać. X. proboszcz powiadał, że więcej jak 6.500 osób przyjęło Komunią św. Nietylko liczba penitentów, napełniała radością nasze serca, lecz nadewszystko ich usposobienia podziwienia godne.

Tak widziano ludzi, którzy przez całe może życie nie płakali, wylewających obfite łzy nad swymi grzechami. Wielu czekało 3 lub 4 dni z dziwną cierpliwością koło konfesyonału. Mówili, że chcą oddać w czwórnasób to, co wzięli swemu bliźniemu. Widziano godzących się ludzi, którzy żyli w nieprzyjaźni od 20 lub 30 lat. Na ten widok zdawało się nam, że błogosławieństwa misyi z czasów św. Wincentego odnawiają się przed oczyma naszemi. Pod koniec misyi, X. proboszcz przy krzyżu napominał parafian, aby zostali wierni wierze katolickiej. Wtedy wszyscy, którzy byli obecni w kościele, było ich więcej jak 3.000 osób, podnieśli ręce do nieba i przysięgli głośno, że żyć będą i umierać w wierze katolickiej i odmawiali wśród łez skład apostolski.

Podczas misyi mieliśmy wypadek, który Ci powinienem opisać: W tem mieście Arakszallas, jako i w reszcie Węgier są heretycy nowi, którzy się nazywają Nazarejczykami, ponieważ sądzą, że oni sami posiadają czystą naukę Jezusa z Nazaretu. Idą oni literalnie za Pismem św., lecz odrzucają tradycyą. Dla tego też odrzucają przykazania kościelne.

Ich naczelnik, którego zwolennicy nazywają biskupem, przybył do nas do presbiteryum, aby roztrząsać religię z misyonarzami. Ja właśnie słuchałem spowiedzi w kościele. X. proboszcz właśnie mnie zawo-

łał, abym wziął udział w tej dyspucie. Nieszczęśliwy ten zawsze cytował Pismo św. według wydania angielskiego, które ogłasza towarzystwo biblijne. On czynił zarzuty, a ja je zbijałem i dowiodłem mu, że Pismo św. nie jest wystarczającem i że tradycya jest także potrzebna. Lecz on tak był napojony swoją błędną nauką, iż widziałem, że jeżeli Bóg nie uczyni cudu, niepodobnem będzie, aby się nawrócił. Nieszczęśliwy ten, był przedtem katolikiem; pytałem się go, jaka przyczyna go skłoniła do tego, żeby się stał Nazarejczykiem. Odpowiedział: Dwie przyczyny spowodowały moje odstępstwo: złe prowadzenie się księży katolickich i nadużycia, których się dopuszczają wierni w Sakramencie pokuty. Księża, mówił — pracują nad zebraniem pieniędzy i aby mieć życie pełne wygody: wierni spowiadają się każdy rok ze swych grzechów, lecz natychmiast potem wpadają w też same grzechy. Ja mu odpowiedziałem, że zna tylko małą część księży katolickich, gdyż większa część ich szuka tylko chwały Boga, zresztą ma przed sobą księży katolickich — misyonarzy, którzy się wyrzekli wszystkiego i nie biorą ani szelążka za prace swoje.

Następnie powiedziałem, że widocznie zna bardzo mało wiernych, którzy wpadają w swoje grzechy. Kościół św. ma wielu sprawiedliwych, którzy prowadzą życie prawdziwie religijne i przykładne, a Sakrament Pokuty św. nie został ustanowiony na to, żeby ułatwiać upadek do grzechu, lecz aby wzmocnić dusze, do pozostania wiernemi w swych postanowieniach.

Następnie powiedziałem mu, że jego mniemane przekonania są tylko illuzyą i gdyby miał prawdziwą pokorę, którą wskazał nasz Pan wszystkim ludziom, toby powinien wrócić na łono Kościoła katolickiego,

który jest jedynym prawdziwym Kościołem Jezusa Chrystusa. W końcu mu obiecałem modlić się za niego, aby mu Dobry Bóg dał pokorę w pojęciu co jest wiara i pokorę woli, t. j. posłuszeństwo pokorne poleceniom Kościoła św. Zakończyłem, zapewniając go, że żaden z jego błędnych dogmatów nie zaprowadzi go do nieba, lecz tylko prawdziwa pokora. Polecam tego nieszczęśliwego Twoim modlitwom, Przewielebny Ojcze! jeżeli on się nawróci, to jako naczelnik Nazarejczyków przyprowadzi wiele dusz na łono Kościoła Jezusa Chrystusa".

Włochy. Na konsystorzu w dniu 25 czerwca prekonizował Ojciec św. Leon XIII ks. Rafała de Martinis, kapłana Zgrom. Misyi na arcyb. Laodycejskiego in par. inf. W kilka dni potem otrzymał ks. de Martinis sakrę biskupią w kościele księży Misyonarzy w Neapolu z rąk Jego Em. ks. Kardynała di Rende, arcybiskupa Benewentu. Jako pokorny syn św. Wincentego prosił nowy ten prałat o ojcowskie błogosławieństwo księdza Generała, które mu też przesłane zostało wraz z najszczerszem życzeniem.

Ojciec św. nadaniem godności arcybiskupiej ks. de Martinis chciał dać wyraz uznania i nagrodzić prace i zasługi jego jako to prace popularne na polu polemiki religijnej, przedewszystkiem wydanie „Bullarium św. Kongregacyi de propaganda fide".

Hiszpania. Z Avili donoszą o błogich skutkach jakie przyniosły misye nasze odprawione w okolicach Madrytu. We wsi Nowalperal ludność przeważnie pasterska i to też po części zdziczała, stąd zachowywała się zimno. Dopiero nauki o przeklęctwach i przebaczeniu uraz wywołały zmianę, — najzatwardzialszych zaś skruszyło nabożeństwo żałobne za zmarłych i kazanie o duszach w czyśću. Zaprowadzono tu różne bractwa.

Misya trwała dni trzynaście. Stąd udano się do Hoyo de Pinares parafii liczącej dusz 2000. Obecnie zarządza nią kapłan bardzo gorliwy, przez czas jednak dłuższy była w zaniedbaniu, tak że 60—80 stawiało się do spowiedzi i Komunii św. wielkanocnych. Żarliwość obecnego proboszcza także jeszcze lodów nie złamała, misya dopiero dokonała tego. Nawet zatwardziali w złem grzesznicy garnęli się do konfesyonału, a potem chętnie zapisywali do różnych bractw.

Po 13 dniach inna pobliska wioska 1600 mieszkańców licząca San Bartolomé de Pinares doznała błogosławieństwa misyi. Tu lud był pobożny, ale raczej powierzchownie, więc i tu misya wiele przyniosła pożytku.

Co do porządku misyi to po powitaniu przez proboszcza rozpoczyna je przemowa dyrektora misyi, w ktorej dziękuje tym co z pobliskiej przyprowadzili go wioski, gdzie ostatnią misyę odprawiono, a zarazem zachęca do pilnego brania w misyi udziału. Właściwie rozpoczyna się misya kazaniem we wieczór. Co dzień 3 nauki i katechizm.

Przez cztery pierwsze dni jeden z misyonarzy przysposabia dzieci do pierwszej Komunii św. Najwięcej poruszają zawsze nauki o ostatecznych rzeczach, przeklęctwach i przebaczeniu uraz. Misya zwykle trwa dni trzynaście.

Jerozolima. Stowarzyszenie katolików niemieckich dla Ziemi św. powołało Zgrom. Misyi do pracy przy zakładach w Jerozolimie. Objęto tu dyrekcyę nad szpitalem zarządzanym przez Siostry Boromeuszki, a także nad szkołą. W niedzielę i święta odprawia się w kaplicy szpitalnej nabożeństwo także dla okolicznych mieszkańców. Cieszy się też Zgromadzenie, że może pracę rozpocząć w miejscu tak drogiem dla

serca każdego chrześciańskiego. Zarazem może tu być kiedyś dobry punkt do przygotowania się na misye zagraniczne, zwłaszcza azyatyckie, bo w tutejszem seminaryum odbywają się kursa języków wschodnich.

Persya. W dniu 28 czerwca odbyła się w kościele Zgrom. Misyonarzy w Paryżu konsekracya ks. Franciszka Lesné delegata apostolskiego w Persyi, prekonizowanego na arybiskupa Filipopolu in part. inf. Konsekracyi dokonał Jego Em. ksiądz kardynał Richard. Obecnym tej ceremonii był ambasador perski przy Rzeczypospolitej p. Nazar Aga.

Z Urmiah donoszą misyonarze o strasznej klęsce powodzi jaka nawiedziła wioskę Marbiszu i okolicę tejże. Leży wioska ta na granicy tureckiej. Nad nią wznosi się góra, która była przyczyną klęski. W dniu 24 maja góra się oberwała, a cała ta masa skał wpadła do płynącej u stóp rzeki, wytwarzając w niej wał 100 m. wysoki, mimo że wiele kamienia zaraz woda uniosła. Można sobie wyobrazić jak szeroko rozlała się teraz rzeka, gdy jej fale tak wielką znalazły zaporę. Wszystko niszczyła po drodze, winnice i role zasiane zbożem spustoszone, powyrywała drzewa najstarsze, młyny i mosty poznosiła. Mieszkańcy przez ośm dni pracowali, aby w zatorze tym zrobić wyłom i udało się im to wreszcie, a napierające fale dopomogły robocie. Biedni mieszkańcy stracili wszystko, ledwie z życiem uszli, choć i ofiar z ludzi nie brakło. Wielu udało się do Rosyi, aby szukać tam pracy, i aby prosić o miłosierdzie i datki. A iluż to więcej zapuka teraz do fórty Zgromadzenia Misyi!

Tunis. W roku bieżącym otwarto nowy dom Sióstr Miłosierdzia w mieście Tunis, a dzieło dobrze się rozwija. Jestto ochronka dla dzieci, w której Sio-

stry utrzymują 30—40 biednych dzieci. Są to dzieci biednych robotników włoskich sycylijskich, maltańskich. Francuzów dużo w mieście ale dzieci francuskich w ochronie nie wiele, bo Francuzi stanowią klasę zamożniejszą.

W kaplicy Braci nauki chrześciańskiej przechowują ze czcią i pokazują portatel na którym sprawował Najśw. Ofiarę nasz męczennik Le Vacher. W forcie Karola V. pokazują okropne więzienie, w którym tenże kapłan nieraz odwiedzał niewolników. Może także i św. Wincenty został tu osadzony, gdy wzięty został do niewoli przez korsarzy i sprzedany.

Afryka. *Madagaskar.* Stanęli już w Madagaskarze nowi wysłańcy ewangelii. Ks. biskup Crouzet wraz z 5 kapłanami i braciszkiem wsiedli na okręt w Marsylii 25 lutego. Można sobie wyobrazić jakie uczucia odezwały się w sercach misyonarzy, gdy przepływali około Abissynii, z którą księdza biskupa tak ścisłe łączyły węzły, tak brutalnie potargane przez rząd włoski. Nadzwyczaj serdecznie przyjęli nowych apostołów OO. Jezuici w Tamatawie, a ci z nich, którzy dawniej pracowali w Forcie Delfina udzielali łaskawie wskazówek i wyjaśnień. W miejscu swego przeznaczenia, w Forcie Delfina stanęła garstka synów św. Wincentego 7-go kwietnia. Jakąż radość musi mieć św. Wincenty w niebie, gdy widzi, że ta tak umiłowana przez niego misya znowu w ręce jego dzieci złożoną została! Odżyły w misyonarzach wspomnienia świątobliwych księży Nacquart'a, Gondre, Etienne, którzy tu za życia św. Wincentego pracowali. Jest tu wprawdzie kościół, ale nie ma odpowiedniego dla misyonarzy mieszkania, to też trzeba było zamieszkać w mieście. Zaczęto zaraz odprawiać nabożeństwo, a na razie skorzystano z gościny ofiarowanej

przez p. Marschall. Istniele tu szkoła, jest nauczyciel, ale dzieci się rozprószyły, jest jednak nadzieja, że wnet misyonarze pozyskają zaufanie krajowców, a książątka przyślą swych synów na naukę.

Ameryka. *Kolumbia.* W Annales mamy sprawozdanie z misyi odprawionych dla ludności nad rzekami pobrzeżnemi. Rzeka jest tu wszystkiem dla ludności, to też nad rzekami są jej osady. Tu budują sobie chatki z drzewa guayacan, najwięcej posiadającego odporności na działanie wody. Rzeka także przeważnie ich żywi. Ludność ta o ciemnej, czarnej prawie skórze jest dobrą, ale z powodu, że brak tu kapłanów, obyczaje ich wiele pozostawiają do życzenia. Od złego wstrzymuje ich pobożność, częściej co prawda tylko zewnętrzna; skrupulatnie jednak wypełniane jej praktyki nie są pozbawione wpływu. W roku 1895 ochrzcili nasi misyonarze 584 dzieci, wyspowiadali 2671 osób, a złączyli 254 małżeństw. W tym roku misye również wiele przyniosły pożytku, wyspowiadano 2366 osób, ochrzczono 682 osób, a małżeństw pobłogosławiono 192. Wszędzie, gdzie przybędą misyonarze mile są widziani, a krajowcy chętnie by ich chcieli u siebie zatrzymać.

St. Louis. Donoszą, że 27 maja przebiegł nad nieszczęśliwem tem miastem tak straszny huragan, że w Europie nawet trudno sobie o nim prawdziwe wyrobić pojęcie, a i w Ameryce jeszcze za niezwyczajny musi być uważany. Zdawało się, że zbliża się koniec świata. Straty jakie poczynił wynoszą ogółem 250 milionów franków, kosztował również życie 500 osób, prócz tego 200 rannych. Z pomiędzy zakładów naszych Zgromadzeń ucierpiał nadzwyczaj kościół Misyonarzy, który co prawda nie sam jeden uszkodzony, jedenaście bowiem katolickich kościołów zniszczało,

niektóre prawie zupełnie. Nasz kościół co dopiero wewnątrz odrestaurowany z powodu 50-tej rocznicy konsekracyi, utracił wieżę i dzwony, a z dachu strzępy tylko zostały. Bogu i św. Wincentemu dzięki, że nikt z ludzi nie zginął. Dwa zakłady Sióstr Miłosierdzia ucierpiały również bardzo. Mury zakładu „Anioła „Stróża“ w części runęły. Drugi dom Sióstr, w którym był szpital dla obłąkanych, na szczęście wtedy przez żadnego waryata nie zamieszkały, zniszczony zupełnie, bo co zostało trzeba było zburzyć. Mur obwodowy otaczający ogród zrównał huragan z ziemią, a w ogrodzie nic nie pozostało, drzewa wszystkie wyrwane. Naturalnie komunikacya telegraficzna przerwana. Miasto długo będzie się musiało leczyć z ran przez tę klęskę elementarną zadanych.

Zmarli:

X. Amateusz Herbert, 28 lat życia, 11 pow., † 28 sierpnia w Oranie (Algerya).
X. Franciszek Domergue, 50 lat życia, 21 pow., † 28 sierpnia w Santiago (Chili).
X. Franciszek Malleval, 63 lat życia, 38 pow., † 16 października w Paryżu (Francya).
X. Józef Wang, 54 lat życia, 31 pow., † w październiku w Nan-Tchang (Chiny).
Wawrzyniec Francioni, brat, 74 lat życia, 54 pow., † 25 października w Placencyi (Rzym).
X. Józef Amoretti, 38 lat życia, 19 pow., † 29 października w Turynie (Lombardya).
X. Edward Smith, 63 lat życia, 42 pow., † w październiku w Chicago (Stany Zjednoczone).
X. Patr. Mackenna, 67 lat życia, 41 pow., † 9 listopada w Cork (Irlandya).
X. Joachim Bataille, 25 lat życia, 8 pow., † 19 listopada w Paryżu (Francya).
X. Bonifacy Cavallo, 77 lat życia, 58 pow., † 4 sierpnia, w Scarnafigi (Lombardya).
X. Józef Baltet, 35 lat życia, 16 pow., † 29 listopada w Paryżu (Francya).
Antoni Fernandez, brat, 59 lat życia, 22 pow., 22 listopada, w Milagros (Hiszpania).
X. Jerzy Torrilhon, 62 lat życia, 16 pow., † 30 listopada w Lyon (Lyon).
X. Emil Miel, 75 lat życia, 51 pow., † 5 grudnia, w Lizbonie (Portugalia).
Jan Antoni Kruze, brat, 67 lat życia, 30 pow., † w październiku w Santiago (Chili).

R. i. P.

Wydawnictwa Księży Misyonarzy

(Kraków, Kleparz 19).

Przewodnik grzeszników czyli nauka dla wszystkich stanów o zacności i pożytkach cnót i o drodze do nich wiodącej, przez WX. Ludwika z Grenady — wydanie Księży Misyonarzy. Cena egz. opr. loco **1 złr. 60 cnt.** (3 marki).

Wiadomość o Najśw. Pannie w Lourdes. Prócz opisu znaczniejszych cudownych łask, jakich za użyciem wody z Lourdes pobożni wierni doznali, tudzież Nowenny do tejże cudownej N. Panny, dodano modlitwy i akty pobożne dla chorych i konających, tudzież pieśń i Litanię do tejże Najśw. Panny. Wydanie ozdobne, najnowsze z r. 1895. Cena broszury **20 cnt.** (40 fen.)

Narzędzia Męki Chrystusowej przez znakomitego kaznodzieję IMĆ. X Veit, przekład X. Chołoniewskiego, wydanie Księży Misyonarzy r. 1891. Dobre do czytań i nauk Pasyjnych. Cena **1 złr. 25 cnt.** (2 marki 40 fen.).

Wiadomość o trzech szkaplerzach tj. **niebieskim czerwonym i czarnym,** z dołączeniem nabożeństwa do Najśw. Panny i do Męki Pańskiej. Cena broszury **10 cnt.** (20 fenigów).

Cuda Łaski Miłosierdzia Bożego oraz Nowenna za dusze w czyśćcu cierpiące. Cena egz. **15 cnt.** (30 fen.)

Wspomnienie o życiu i śmierci Bł. Jana Gabryela Perboyre, Misyonarza umęczonego w Chinach Cena **20 cnt.** (30 fen.).

O Naśladowaniu Jezusa Chrystusa Tomasza a Kempis — z dodatkiem licznych modlitw. Cena egz. nieopr. **60 cnt.** (1 markę), opr. **75 cnt.** (1 markę 30 fen.).

Roczniki Dzieła św. Dziecięctwa P. Jezusa, wychodzą co kwartał. Prenumerata wynosi rocznie **20 cnt.** (30 fen.).

Nowenna do św. Wincentego à Paulo. Cena **15 cnt.** (30 fen.).

Adoracye czyli 12 godzin przed Najśw. Sakramentem. Zbiór pięknych uwag, nauk i rozmyślań pobożnych o Najśw. Sakramencie z dodaniem procesyi na Boże Ciało, tudzież pieśni i hymnów o N. Sakr. Oprawne **50 cnt.** (1 marka).

Nabożeństwo Kościelne, czyli mszał rzymski po łacinie i po polsku na cały rok. Oprawa w szagryn **4 złr. (7 m.).**

Wiadomość o Cudownym Medalu N. P. Broszur. **10 ct.** (20 f.)

Maksymy św. Wincentego 40 ct. (80 fen.).

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.